Rozmaitości

Dnia 11. lutego · Ner. 6. · 1832 roku.

WALKA Z KUPIDYNEM.

(Przez W. Ch.)

Pan Anzelm, głowa łapigroszów sławnych,
W służbie Temidy rycerz podstarzały,
Dziwił się mocno, że prócz głośnej chwały,
Nabytej w potyczkach prawnych,
Lubo bez względu swych klientów zdzierał
Mało przyzbierał.
Myśli, uważa i śledzi tajemnie,
Nastawia łapki, różne wnioski czyni,
Wszystko daremnie.
Myśli — w tem nagle do głowy mu wpada,
Że to zapewne pani gospodyni
Tak go okrada.
Przejęty do żywego, w straszliwym domyśle
Sąd rozpoczyna surowy:
Pannę Agatę inkwiruje ściśle,
Używaj całej wymowy,
Zręcznie pytania układa,
Syllogizmami gromi ją potężnie;
Lecz przeciwnik nie mniej doświadczony,
Zacięty, nieustraszony,
Równie na wszystko mocno odpowiada,
Broni się mężnie.
Jak kiedy rycerz z rycerzem się zetrze,
Obadwaj sławni i sztuką i męztwem,
Straszliwe razy odbija powietrze,
Ziemia się trzęsie, zaciętość się wzmaga,
W okropnym wzroku iskrzy się odwaga,
Ale się żaden nie cieszy zwycięztwem —
Obadwaj stoją jak skały:
Tak się Agata z przeciwnikiem sciera,
Zadaje razy, zadane odpiera,
Potrząsa izbą straszny łoskot zbroi;
Lecz choć się każde sroży i natęża,
Wątpliwa walka, żadne nie zwycięża,
I Anzelm stoi i Agata stoi —
Oboje stoją jak skały!
Ucichła wrzawa — po zaciętym boju
Odetchnął Anzelm znużony,
Odetchnął ciężko i usiadł zemdlony,
A strumień białego znoju,
Zwolna, jak lawa, z pod peruki spływał,
Wypełniał zmarszczki i trędy pokrywał.
Mężna Agata na środku pokoju,
W tryumfującej jaśniała postawie:
Zwycięztwo, w chlubnej odniesione sprawie,
Pokryło dumą bohaterskie czoło;
Gniewem pałało wypasione lice,
I jakby do powtórnej potyczki gotowa,
Wzrok roziskrzony rzucając w około,
W straszliwe zwalczonemu odgrażała słowa.
Widząc te groźne mężnej duszy znaki,
Widząc, jak wznosi potężną prawicę,
A w niej pogromczym wywija bułatem,
Rzekłbyś, że mocarz jaki,
Ufny w swą siłę, chce potrząsnąć światem.

Poznał pan Anzelm, ale po niewczasie,
Jak niebezpiecznie w podobnym zapasie
Z mężną Agatą się mierzyć;
Uczuł, że mimo żarliwej obrony,
Zaszczytny tryumf nie z jego był strony,
Nie śmiał powtórnie uderzyć;
Wnosił, kto sprawy tak skutecznie broni,
Do kompromisu pewnie się nie skłoni
Ni łagodnością, ni trwogą;
Ale w zamyśle rozpoczętym stały,
Nie chciał w tej sprawie zagrzebać swej chwały,
Umyślił inną pójść drogą.
Zaprasza uczniów Galla, Lawatera —
I gdy przy pełnych szklanicach węgrzyna
Rzecz im obszernie rozbiera,
O dukacikach żałośnie wspomina:
Wnet ci uczeni mężowie,
W swych zdaniach zgodni,
Znaleźli dowód oczywistej zbrodni,
Potężne guzy na głowie.

)(

Mając przed sobą dowody tak jawne,
Zemstą jedynie pan Anzelm oddycha:
Woła Agatę — ta z pokorą staje,
Widzi, że nie żart, już się nie opiera,
Zasługi tylko przypomina dawne.
Anzelm ze złości tylko się uśmiecha,
Litości miejsca nie daje,
Z srogością gniew swój na biednej wywiera,
Gardzi pokorą, proszącą odpycha,
Nareszcie całą odwagę swą zbiera,
I przy huknliwym swej zemsty odgłosie
Wypędza z domu gosposię.

W wiejskiej zaciszy, od świata zdaleka,
Miał pan Anzelm siostrzenicę.
Nie znał jej wprawdzie, lecz w nagłej potrzebie
Na znajomość się nie czeka.
Wzywa ja tedy do siebie,
Zastąpić miejsce Agaty.
Z ochotą na to przystają rodzice,
Bo Anzelm miał być bogaty,
I Zosia, nie mniej szczęśliwa,
Że ujrzy przecie stolicę,
Na rozkaz wuja przybywa.

Jak kwiat, co wolno z łona natury wyrasta,
Ćmi miejskie planty świeżością urody:
Tak ćmiła Zosia, przybywszy do miasta,
Najpowabniejsze hołdownice mody.
Prawie szesnastą ujrzała już wiosnę,
Lilia z różą pieściły jej lice;
Ogniem rozkoszy pałające oczy
Rzucały w serca uczucia miłosne —
Za najpiękniejszą słynęła dziewicę.
Niewinność w twarzy i uśmiech uroczy
Więziły wszystkich słodkiem przymileniem.
Jak gasną gwiazdy przed słońca promieniem,
Tak gasły przed nią wieku rówieńnice.

Anzelm, ujrzawszy naraz wdzięków tyle,
Własnym oczom nie dał wiary,
Stał, jak nie żywy, przez chwilę
Rozumiał, że to są czary.
I gdy się coraz mocniej w dziewczynę wpatruje,
A ta tem mocniej zachwyca,
Nie może tego pomieścić w swej głowie,
Żeby to była jego siostrzenica.
A nawet, gdy go dziewczę już w rękę całuje,
Kochanym wujaszkiem zowie,
I o wezwaniu nadmienia,
On jeszcze wyjść nie może z swego zadumienia.
Ten, którego nikt jeszcze w życiu nie przegadał.
Stał, jakby nigdy językiem nie władał.

Zosia, której rząd domu nie był obcy wcale,
Już w dni kilka doskonale
Poznała wszystkie obowiązki swoje,
Kuchnię, piwnicę, szkatułkę, pokoje,
Miała pod swoim wyłącznym dozorem
Pożytek wuja mając jedynie na względzie
Zarządza wszystkiem mądrze, gospodarnie,
Czyto w południe, rano, czy wieczorem,
Czuwa nad wszystkiem i sama jest wszędzie:
Pilnuje, strzeże, by nic nie szło marnie,
Stara się każdej rzeczy jak najlepiej użyć,
Troszczę się, szczędzi, grosz do grosza składa,
Niepodobieństwa nawet wypełniłby rada,
Aby się tylko wujowi przysłużyć,

Widzi to Anzelm — lecz choć zasłużone
Oddaje Zosi pochwały:
Już go to wszystko nie cieszy, nie nęci!
Serce, pociskiem Kupida trafione,
Walcząc napróżno z srogiemi zapały,
W inną już stronę
Zwróciło jego i myśli i chęci.
Dary Plutusa na cóż mu się zdały!
Zosia go tylko zajmuje,
Całą władzę jej wdzięków w sercu swojem czuje.
Traci do pracy ochotę i siły,
Wszystko mu obojętne, cały świat niemiły.
Jednem on tylko uczuciem już żyje —
Dla miłości i Zosi serce jego bije.

Kiedy się długo wpatruje w jej wdzięki,
Albo jej rączka dotknie jego ręki,
Okropny skutek wynika!
Ogień piekielny całego pożiera —
Żywy obraz męczennika!
Krew się w nim burzy, coraz mocniej wzbiera,
Bije do głowy i perukę wznosi:
Nagle nim miota jakaś wściekłość dzika,
Która mu zmysły do szczętu odbiera,
Zrywa się wtenczas i leci do Zosi —
Zosia się śmieje i — znika.

Mijają chwile, godziny, tygodnie....
Ów czas, którego wszechwładna potęga
Najniesforniejsze rzeczy łączy z sobą zgodnie,
I z niepodobieństw samych owoce wylęga:
Mniej dla Anzelma łaskawy,
Jego miłosnej nie popiera sprawy,
Ani smutnego serca położenia
W niczem nie zmienia.
Srogości Zosi nie łamie wytrwałość,
Nic jej nie ujmie, nie wzruszy,
Ni więzi przymilenie, ni podbija śmiałość,
Zimna, jak gdyby czucie wymarło w jej duszy,
Niczem mu nie da z rozpaczy się dźwignąć;
Rosną cierpienia, rośnie serca żałość,
Ni rany chcą się goić, ni zapały stygnąć!
W srogiem ucisku tajemnej zgryzoty,
Do nieczułej, niewdzięcznej przylgnąwszy istoty,
Wiedzie nieborak opłakane życie.

Z niczego nie jest kontent; wybladły, ponury,
Zmarszczki czoła czarnemi pozaciągał chmury,
Nigdy się nie zaśmieje, w smutku ginie skrycie;
Trawi się w sobie, nie pije, nie jada,
Chodzi po nocach, do rozumu gada,
Marzy, na jawie przywidzenia miewa,
Łzy nawet czasem wylewa.

Co większa, ów przyjaciel, który w każdej dobie,
Umiał i rozweselić i ująć go sobie,
Dukat — już nie ma dla niego ponęty!

Jak kwiat w korzeniu podcięty,
Żółknieje, więdnie, opada,
Jak zwierz, któremu zabójcze narzędzie
Krwawy strzał zada,
Wstrzymany w swobodnym pędzie
Ciężki swój postrzał po kniejach, po lesie,
Ze sobą niesie:
Tak Anzelm, wdziękiem postrzelony Zosi,
Jak źwierz swój postrzał ze sobą unosi,
Jak kwiat podcięty więdnieje,
Traci sił resztę, usycha, niszczeje.

O wy! których ofiary piękna Cypru pani
Zawsze przyjaznym uśmiechem nagradza,
Co wiosnę życia poświęcając dla niej,
Gdy poznacie, co słodka miłości jest władza,
Nigdy chwil waszych nie liczycie łzami;
Wy, których skutek w nadziejach nie zdradza,
Marzenie nigdy nie zwodzi, nie mami,
Miłość do celu zawsze doprowadza;
Wy, których czucie rozkosz tylko pieści,
I drogę życia uściela kwiatami;
Wy, co kochając nawzajem kochani,
Nie znacie owych trawiących boleści,
Gdy z serc dwojga grot zgubny jedno tylko zrani;
Wy nareszcie, co gardząc sferą niewolniczą,
Lubicie skroń przystrajać w świeże zawsze wieńce
I nowych zawsze zwycięztw pojąc się słodyczą,
Zasłynąć wielu tryumfów odgłosem:
Wszyscy, godni zazdrości, bogów polubieńce,
Których w sprawie miłostek i płochych zalotów
Zawsze Knidyjczyk posiłkować gotów —
Urońcie łzę nad srogim towarzysza losem,
Nie śmiejcie się z miłosnych Anzelma kłopotów!

Niegdyś, gdy umysł z sercem były jeszcze zgodne,
Siły w czerstwości, a myśli swobodne,
Dzielny w zaczepce, dzielny do obrony,
W najgorszej sprawie niczem nie strwożony,
Jak siadł na chwilkę do swego stolika,
Jednym zamachem gubił przeciwnika;
Teraz, choć często i długo zasiada,
Nic się nie klei, nie składa,
Myśli nie płyną, a dowcip stępiony
Tak obrotnie, jak dawniej, piórem już nie włada.
Zamiast klienta, lub przeciwnej strony,
Obraz mu Zosi przed oczami staje,
Burzy mozolny układ i pisać nie daje.
W replikach, gdzie być miały syllogizmy, wnioski,
Wywodzi miłość swoję, swe żale, swe troski,
A w zamęcie tych sprzecznie pomieszanych mysli,
Na dokumentach imię Zosi kreśli.

I jakież z dzieł takowych miały wypaść skutki!
Nieład ogarnął porządku budowę...
Od czasu, jak mu miłość zawróciła głowę,
Wszystko mu nie do smaku, każdy termin krótki;
Złorzeczy stronom, na sądy się gniewa,
Na oralnych już nawet processach nie bywa,
O taxach zapomina, częste kary płaci,
I sławę dawną i wziętość swą traci,
Zrzędzi, dziwaczy, gromi dependentów,
Próżno! sprawy źle idą, ubywa klientów.

Komuż dotkliwszą kiedy położeń zawiłość
Zrodziła nieszczęsna miłość!

W tym składzie rzeczy, pewną grożących mu zgubą,
Gdy Anzelm, zimną umysłu rachubą
Rozbierając swoje straty,
Dawny z obecnym porównywa stanem,
Westchnie i czasy wspomina Agaty!
Przecież to za niej nie źle mu się działo;
Utrapienie miłości nie było mu znanem,
Nie obce jednak jej rozkoszy kwiaty;
Mając spokój, pracował z pożytkiem i chwałą,
Ognie go nie trawiły, a serca był panem;
Że mu się zdała już nieco za starą,
Lub że namiętnie lubiła dukaty —
Cóż ztąd? wszakżeto wspólną było ich przywarą!

Teto niekiedy Anzelm obudza wspomnienia,
I takie sobie czyni przełożenia.
Lecz ta chwilowa rozwaga
W końcu żadnego skutku nie przynosi;
Jeden rzut oka na powaby Zosi
W walce rozsadku przemaga:
Namiętność głosu rozumu nie słucha,
A przytłumiona na chwilę,
Gdy starga więzy, tem wolniej wybucha,
I w całej panuje sile.
Coraz gwałtowniej wzmaga się i szerzy,
Z krwią wszystkie nerwy okręża,
A kiedy z serca do głowy uderzy,
Pali straszliwie, mozgu nadwerężą.
Czasem, gdy szczytu dochodzą te męki,
A żar wewnętrzny w płomień rozgoreje,
Gdy mu dojmnją okrutnicy wdzięki,
Lub ona milej uśmiechnąć się raczy —
Nie chcąc się oddać ostatniej rozpaczy,
Jeszcze do serca przypuszcza nadzieję.
Bliżej natenczas koło Zosi siada,
I wstęp zrobiwszy westchnieniem głębokiem,
Cierpienia swe opowiada
Czułości wzrokiem.

Potém za rączkę chwyta ją ze drzeniem,
Lekkiem swe czucia wyraża ściśnieniem,
I coraz śmielszym postępując krokiem,
O swych zamysłach nadmienia zdaleka.
Ale Zosia, w tak groźnym niebezpieczeństw tłumie,
Dalszych wynurzeń nie czeka,
Zaraz się pod zasłonę skromności ucieka,
Ciężarnych westchnień tłumaczyć nie umie,
Cisnienia ręki nie czuje,
Tkliwéj rozmowy wzroku nie rozumié,
Ni słówka zdala rzucane pojmuje.
Zwolna swą rączkę wymyka,
Śmieje się znowu i — znika.

W srogiej tych wiecznych przeciwieństw kolei,
Gdy żaden srodek nie dźwiga nadziei,
Gdy zawsze Zosię znajduje okrutną,
Zimną i twardą jak kamień,
Spuszcza się Anzelm w rzeczywistość smutną
Z lubéj krainy omamień.
Chce iść nareszcie za rozumu głosem
Uzbroić serce w cierpliwość,
Spróbować walki z nieugiętym losem,
Stłumić tę zgubną, tę niegodną tkliwość,
I — jak na męża przystało,
Zwycięztwa okryć się chwałą.

Raz, gdy w tej sprawie rozumu, miłości,
W tym spornych uczuć zamęcie,
By spokojnym rozmysłem wesprzeć przedsięwzięcie
Ulgi, wzmocnienia szukał w samotności —
Do odległego udał się pokoju.
Wchodzi i — zadrzał. Lecz cóż za przyczyna
Tak gwałtowną, tak nagłą sprawia w nim odmianę?..
Na sofie — nową pewnie sprawką Kupidyna —
Różne przedmioty Zosinego stroju
Postrzega porozrzucane:
Kapeluszyk, co lubą osłania twarzyczkę,
Szalik, co z gorsem lubieżnie się pieści,
Suknię, sznurówkę, spodniczkę,
Z których każda, gdy swoje wypełnia usługi,
Więżąc kształt jeden, ukrywając drugi,
Tyle wdzięków ogląda, tyle rozkosz mieści!
Zadrzał nieborak — tyloma ponęty,
Jakby z nóg ścięty.
Miesza się, oczy przymyka,
Potężnego przed sobą czuje przeciwnika,
A w tej przygodzie, w tej trwodze,
Niepewny, czy mu wydoła,
Co miał męztwa w zapasie, ku pomocy woła.
Stoi — jak Alcyd na rozstajnéj drodze —
Waha się, chwieje — to się ku drzwiom cofa,
To znowu naprzód przynęca go sofa;
Chciałby zwyciężyć, wszystkich sił dobywa —
Ale rozum, przeniewierca,
Żle mu się sprawia,
Nagle przymierze z nim zrywa,
Porzuca go zdradziecko i pokusom serca
Na łup zostawia.
Wnet zmysły, gdy poczuły, że pana nie stało,
Burzą się, rokosz podnoszą zuchwało,
I wstępnym bojem
Szturmując do wyobraźni,
Wznawiają traktat przyjaźni;
A idąc daléj w przedsięwzięciu swojém,
Poparte nowemi siły,
Anzelmem, jakby piłką, na sofę rzuciły.
Oprzéć się tym potęgom czyż było podobna?..
Bo jestli sprawa nad taką zawilsza,
Gdzie zwycięztwo chwalebne, lecz przegrana milsza?

Korzysta więc z przegranéj, każdą rzecz z osobna
Pieści, całuje, tuli i przyciska
Do swych płomieni siedliska.
Lecz to wszystko poziome dla jego zapału,
Wyżéj się wzbija lotem swego szału,
Chce omamieniem żądzy swojéj sprostać,
Chce stanąć bliżéj swego ideału,
I dać mu życia wyrazistszą postać.

Wielkim pomysłom same sprzyjają niebiany!
Sprzęt, który dźwigał ozdobne peruki,
Godne utwory Rosza i Erwego sztuki,
Stał sobie w kącie, nigdy nieruszany.
Tego nasz Anzelm użyć postanawia,
Zrzuca peruki, z kąta go dobywa,
Na środku pokoju stawia.
Zakłada kapeluszyk na drewnianą głowę,
Gołą wysmukłość spodniczką okrywa,
Obleka suknię, zwięzuje,
Ściąga, opina, fałduje....
Dzieło gotowe!
Wszystkie ułudy, zgromadzone razem,
Jednym objęte obrazem!
Wlepia swe oczy w tę powabną całość,
Widzi zdumiony całą postać Zosi,
Ledwie sam wierzy, że to jego ręka
Stworzyła tę doskonałość.
Wzburzonych myśli zapęd go unosi,
Mistrz przed swem dziełem uklęka.
Jak Pigmalion, tęsknotą trawiony,
Do nieczułego przylgnąwszy kamienia,
Póty go swemi ogrzewał ramiony,
Aż się głaz zimny zajął ogniem tchnienia:
Tak nasz Anzelm ów utwór, któremu dał wdzięki,
Objąwszy silnie kościstémi ręki,
W gorącej żądzy tchnieniem rozgorzałem,
Z którego cała dobywa się dusza,
Ognistych uczuć przejmuje zapałem,
I życiem swojém do życia przymusza....
Wstrzymuje wrzący oddech.. słucha.. coś się rusza..
Patrzy... to Zosia.. z spuszczonym w dół okiem,
Nieśmiałym zwolna postępuje krokiem,

Wiodąc za sobą, w słodkie ujętego pęta
Wdzięków swoich, dependenta.
Zbliża się do wujaszka — w rączkę go całuje —
Jagody wstydu powleka płomieniem —
»Miłość!« — wymawia ze drzeniem —
»I gdyby tylko wujaszkowa łaska...«
W tém spojrzenie Anzelma mowę jéj tamuje.
Nie tak szczyt skały, gdy ją piorun strzaska,
Z wysokości, na której bratał się z obłokiem,
Runie w niziny:
Jak Anzelm, co się wzbijał bujnym lotem skrzydeł
W niebo mozolnie spłodzonych mamideł,
Tym niespodzianym rażony widokiem
Padł z swych urojeń krainy.
Zosia, tak ciężkim wujaszka upadkiem
Widząc najmilszą nadzieję zniszczoną,
Nie chciała skutków być świadkiem.
Domu, gdzie uśmiech szczęścia jéj nie czeka,
Już się i panią być zrzeka,
Powraca na wieś, na rodziców łono,
Za nią pospiesza kochanek.
Tam wkrótce, z wolą rodzicielską zgodnie,
Miłość mirtowy uwiła im wianek,
Hymen zapalił pochodnie.
Biedny Anzelmus, po téj katastrofie,
Długo pamiętał o nieszczęsnéj sofie;
A ile razy perukę zasadził,
Wspomniał o sprzęcie, który go tak zdradził
Lecz na zacięte, gwałtowne choroby,
Gwałtowne tylko skutkują sposoby.
Czego nie mogły losy sercu sprzeczne,
Ani cierpliwość, ani męki wieczne,
Ni rozum mocném w boju przedsięwzięciem,
To zazdrość jednem pokonała cięciem.
Zwolna się Anzelm z wypadkiem oswoił,
Wstyd przemógł złość, a czas uspokoił.
Aby zaś w części wynagrodzić stratę
Tych ideałow, które niegdyś roił,
Przywraca nazad do łaski Agatę.
Tak po dawnemu, bitym idąc torem,
Już więcéj w a l k i nie miewał z A m o r e m.

UWAGI NAD CZASOPISMEM NAUKOWEM OD ZAKŁ. IMIEN. OSSOLIŃSKICH WYDAWANÉM.

Zeszyt 1szy roku 1831.

(Nadesłane.)

Wiek dzisiejszy nie jest wiekiem wskrzeszenia nauk, epoką, w którejby umysł człowieka, nie rozwinięty jeszcze, zabawiać drobnostkami wypadało, aby łatwémi wyrobami rozumu usposabiać go do pojmowania prawd wyższych moralnego świata. — Umysł dzisiéjszego czytelnika, na wyższém stojąc stanowisku, szuka pokarmów odpowiednych i właściwych swojéj sferze. Przeznaczenie jego, posuwać się coraz wyżéj i wyżéj, nie pozwala mu zniżać się do stanu przedkilkonasto-letniego swojego bytu, a przynajmniéj wsteczne takowe zwracanie się i brak zasiłków nie może posłużyć ku udoskonaleniu go i naturalném działaniem opaźniać musi jego postępy. — Tyle pism peryjodycznych, co przybrały tok dzieł naukowych, codziennie pokazujących szybki postęp ludzkości w dążeniu jéj do zamierzonego, możnego stopnia doskonałości, pism pełnych głębokiéj nauki, nie zostających i na krok za cywilizacyją, lecz postępujących z nią jednocześnie i wpływem swoim rozwijających dalszą jéj uprawę, tyle pism peryjodycznych, wychodzących u cywilizowanych narodów Niemiec, Francyi i Anglii, zaspokajając potrzeby europejskiego czytelnika, podają myśl polskiemu, że i u nas w ojczystym języku należałoby mieć pisma peryjodyczne dowodzące, że uprawa umysłowa nasza nie opoźniła się od reszty myślącego świata, i któreby, będąc niejako dziennym obrachunkiem naszego rozwijania się umysłowego, dawały mu nadal popęd i właściwy kierunek. —

Z tém wszystkiém cała potrzeba takowych pism dotkliwie czuć się daje, a do zaspokojenia jéj żadnego dotąd nie odkryto u nas źródła. —

Między czytelnikami dzisiéjszéj doby rzadko który znaléźć się może, coby zagranicznych pism nie znał, bo powiadam, że nie żyjemy w epoce wskrzeszenia nauk. — Dziś, bez grzéchu i poniżenia nawet, nie można już tłumaczyć się niewiadmością, lub brakiem środków oświecenia się, pod każdym względem i w każdéj gałęzi działań umysłu. Rozległe państwo nauk nie rozciąga w koło granic swoich ostrożnego łańcucha, jakby od cholery. — Wstęp do niego dozwolony i prawo obywatelstwa zapewnione każdemu. Obowatele tego państwa składają dziś jednę wielką rodzinę ludzi myślących i oświeconych, do któréj nie należéć, nie liczy się do najpiérwszych zaszczytów. — Lecz kosmopolityczne oświe-

cenie nie wzbrania bynajmniéj, owszém zachęca do zamiłowania oświaty swojéj rodzinnéj ziemi, bo to właśnie jest wypadek wyższego oświecenia, że kochając i doskonaląc ogół ludzkości, na równéj z nią kładziemy wadze każdą oddzielną cząsteczkę jéj składu, a szczególniéj, najbliżéj dotyczącą serca, swoję ludzkość rodzinną. —

Z tych to powodów czytelnik polski, przyzwyczajony dziś wpływem ubocznéj zagranicznéj oświaty iść równo z cywilizacyją jak kosmopolita, chciałby iść z nią narówni jako Polak — Lecz jakież do tego znajduje sposoby? jakie przygotowania? Potrafiż w swoich pismach współczesnych peryjodycznych znaleźć tę dłoń przewodniczą, świattą, któraby mu pokazała dzieje współcześnie działającego umysłu ludzkiego w układzie systematycznym, porządnym? któraby go objaśniła o stanie teraźniéjszego jego umysłowego istnienia i o stanie tych stosunków, jakie między przeszłością jego plemienia i obcych plemion, terazniéjszością i przyszłością zachodzić koniecznie muszą? w jakich od dzisiaj zostaje z resztą myślącego świata? Nie zaiste, z boleścią wyznać przychodzi, że w tym względzie zostaliśmy daleko za oświeconémi Niemcami, Francyją i Angliją. —

Wpływ pism peryjodycznych jest u nas żaden, lub przynajmniéj nie znaczący. — Rozbierając powody takiego stanu rzeczy, na dwa bardzo naturalne natrafiamy pytania: Czy czytelnicy polscy nie są w stanie przyjąć zbawiennego wpływu światłych dzienników krajowych, czyli też dzienniki krajowe nie są w stanie wywrzéć na czytelników takiego wpływu? i dla czego?

Odpowiedź na powyższe pytania bez zarozumiałości i zwątpienia może dać każdy, oswojony ze stanem peryjodycznego pismiennictwa naszego. Nie rozległe w granicach swoich pisma peryjodyczne nasze, nie mogą odpowiedzieć potrzebom umysłu z siebie czynnego i nieograniczonego, a tém samém, nie mogą wpływać skutecznie na umysł, przywykły do odbiérania zkąd inąd działania silnego, który nie może nabiérać żądanego ruchu i sprężystości, bo nie znajduje się w potrzebie oddziaływania, bo wrażenie wpływające nań raczéj go usypia i otrętwia, niż ze stanu nieczynność obudza. Naturalnie, zakreś granic pisma peryjodycznego zależy od współczesnych okoliczności, mimo chęci często wzbraniających wydawcy umieszczać w niém przedmioty rozległéjszéj treści i wpływów; lecz dla czegożby wydawca w takich przedmiotach, których okoliczności nie ścieśniają, nié miał zrobić wyboru, dla czegożby nie mógł tak pisma swego urządzić, żeby wszystko, co dozwolone, było z siebie zajmujące i ważne; w takim razie, jeżli nie ogół czytelników, to pewien zbiór indywiduów znajdowałby w niém dla siebie źródło obfite pokarmów, i pismo nie zostałoby godłem stagnacyi. — Lecz, czyto wydawca ulegał działaniu okoliczności niepodobieństwa, czy dobrowolnie zaniedbywa wyboru przedmiotów, odpowiednych współczesnym potrzebom czytelnika, czy niższością usposobień nie mógł odpowiedzieć jego oczekiwaniom; rzecz ta nie wchodzi pod uwagę czytelnika i wpływ pisma sam z siebie o d j e m n y, nie może zmienić się na d o d a t n y — I bardzo zwyczajną koleją czytelnik, mogąc miéć w ubocznych pomocach dla siebie zasiłek, odejdzie od źródła rodzinnego, mętnego lub wyschłego, które go nie zaspakaja, a wtedy będzie ta renegacyja jego winą. Czytelnik polski może przyjąć wpływy oświaty; dowodem tego są poszukiwane z chciwością i czytane z korzyścią pisma zagraniczne: a jeżeli od obcych przyjmuje, dla czegożby tém łatwiéj nie miał przyjąć wpływów od swoich własnych? —

Lecz aby pisma swoje mogły wpływ wywrzéć, należy, aby nie były dla czytelnika powtarzaniem znajomych mu przy pierwszém jeszcze kształceniu się rzeczy, które, acz nieodbicie potrzebne w swoim czasie i zasadowe niejako, lecz raz poznane, nie mogą zająć na długo i całkowicie myśli, a czas, poświęcony trudnieniu się niémi, uważać można za czystą stratę — bo trudno zaiste, aby potrzebne z siebie i pożyteczne pierwsze zasady dodawania arytmetycznego, mogły zatrudniać bez przerwy i z prawdziwym interesem Sniadeckiego, lub mu podobnych. — Jeżeli przedmioty pisma nie

są znajome i mają powab nowości, ten sam powab wystarczyć nie może, gdy przedmiot z siebie nie ważny, nie treściwy, lub przynajmniej sposobem oddania go nie zajmujący. — Jeżeli pismo peryjodyczne nie jest treścią niejako wiekowego usposobienia, skazówką jego dążenia i wymiarem postępu, mogące czytelnika swego stawić na równi z czytelnikami innych pism, prawdziwie oświecających, jeżeli czytelnik z pismem jest w takim stosunku, że zamiast odniesienia korzyści, traci czas poświęcony jego czytaniu; natenczas oczywiście pismo skutków zbawiennych nie ściągnie i czytelników odstręczy.

Nasze pisma peryjodyczne, mimo cel szlachetny ich wydawców, mimo najlepszych chęci czytelników, dalekie są od wywiérania tych pożądanych wpływów. Nie wiele ich wychodzi, a w tych nie wielu nie wiele treści. Obejrzyjmy wychodzące u nas w Galicyi pisma ze wszelką bezstronnością, bądź czysto peryjodyczne, bądź ich kształt mające, nie spuszczając z uwagi takichże zagranicznych, abyśmy mogli przez proste ich porównanie ocenić, jak przez zaniedbanie się daleko pozostaliśmy za innémi. —

Zaczniejmy od świéżo wyszłego z druku zeszytu pierwszego CZASOPISMA NAUKOWEGO, wydawanego od zakładu imienia Ossolińskich. — Str. 146.

Wyraz Czasopismo, nowo wprowadzony do języka i określonego znaczenia niemający, w ciągu dzieła raz przetłumaczony »*Leipziger Literatur-Zeitung*« Lipskie Naukowe Czasopismo, odpowiada niemieckiemu: *Zeitung*, Gazecie — jestto tedy: NAUKOWA GAZETA, która zamyka na wstępie: »Obronę autorstwa« p. J. M. Ossolińskiego.

Cześć i sława mężowi, który znaczne położył zasługi dla dobra ojczystéj mowy i ziemi — cześć mu i sława — ale nie za obronę autorstwa. — Gdyby nie ostrzegał tytuł, iż broszurka ta jest płodem pióra szanownéj pamięci Ossolińskiego, możnaby ją wziąć, i bez grzéchu, za szumną deklamacyją ostatnich czasów, przed 1772 r., w Polszcze. Styl napuszony, rzecz napełniona wzmiankami erudycyjnémi mitologii i bohatérskich czasów (nie interessujących już nas dzisiaj) Grecyi i Rzymu. Ma wprawdzie kilka myśli dobrych, acz nie nowych, wiele zwrotów i wyrażeń prawdziwie polskich, chęci dobrych — ale czyż te wszystkie zalety mogą dla nas być dziś dostateczne. Wiek Stanisława Augusta, wiek przeradzania się i odradzania jenijuszu polskiego, odnosił korzyści z podobnych pism, bo w dzieciństwie i mamka jest dobrym przewodnikiem, ale naród w męzkiéj sile swego umysłowego życia, nie znosi przewodnictwa mamek. — Broszurka pod uwagą będąca, w przypisku wydawcy rozprawą (?) nazwana, była zapewne napisana na prędce i po napisaniu nie przéjrzana, a napewno nie przygotowywał jéj do druku szanowny mąż, którego imię nosi. Dziś wiek wymyślny i surowy, arystokracyja literacka, dawnéj sławy wieńce, nie są dziś prawem obowiązującém, *a verba magistri* ulegają ścisłemu rozbiorowi, nie zyskując na słowo dobrodusznéj wiary, jak to bywało za gastronomiczno-literackich czasów Stanisława Augusta. — Nie jest naszym zamiarem wytykać szczególne niedostatki artykułów pisma; zastanawiamy się tylko nad skutkiem, jaki pismo z nich złożone sprawić może. A nie wiém, czy można obronić autorstwo sposobem zamierzonym od autora broszurki, który ubolewając, że »od czasu jak Sas po»dejrzliwy potrójnym łańcuchem sarma»ckiego spętał Ladona i zatrzasł Janusowéj »świątyni hartowne żelazem wrota, Polacy, »szczerbce owe, któremi złociste rąbali bra»my, rdzy na łup i ofiarę poświęcili, a ma»jąc przez Marsowe bojowiska do kościoła »nieśmiertelności zawalony przystęp, snad»niéjszą sobie do niego przez Appollina i Mi»nerwy świątynią znaleźli drogę;« daléj dodaje: »Z muzgu do szczętu musiałby być »obrany zakamieniały grzesznik, gdyby w »ciągu miłościwego láta uderzeniem się w »piersi, i kilka szelągów w karbonę rzuce»niem, nie chciał zupełnego od kary i winy »odpustu nabyć. Za głupiego ja sambym »siebie równie sądził, gdybym, lekkim ko»sztem mogąc na świecie kupić nieśmiertel»ność, na nią się nie ułakomił i nie szedł »z pradziadami mémi w zapasy. Gdy zaś »pewien jestem, że, bylem przysiedział co»kolwiek fałdów, złapię ją (sławę) bez trudu,

»piórem na papiér, już więcéj nie ociągam się, »targnąć się o nią. Zów ją, jak chcesz, mój przy»jacielu, niech będzie płonnym cieniem, czyli »zwodniczą marą, niechaj się równa szybko-nik»nącemu dymowi, tego mi atoli nie zaprzeczysz, »że nie jest szaleństwem, chociażby też i na nic »nie przydatną kupić błyskotkę, kiedy na nią »nie więcéj, jak szostak z kieszeni pójdzie i t. d.« Takieżto były w 1831 r. wyobrażenia? takiżto sposób pojmowania i wystawiania rzeczy ma działać na umysł młodzieży, która z zapałem radaby pracowała dla dobra ojczystéj oświaty? i zkądże pochodzą te wpływy? Z pism peryjodycznych krajowych, od zakładu tak ważnego, jakim miał zamiar Ossoliński swój uczynić? Zapomniał zaiste mąż dostojny, że w naszych czasach inaczéj na sławę zarabiają, jak to bywało za czasów Dyogenesa lub Sokratesa, kiedy dwa, trzy filozoficzne żarciki, niesmaczna *bufonada* mędrców greckich, lub pajacowskie ich dziwactwa dostateczne były do zawrócenia współczesnych i potomnych głów licznym naśladowcom, i do zyskania pięknego imienia filozofa. U nas dziś wieńce sławy obywatelskiéj uczonej drożéj się przedają. Są wianuszki i po szostaku, łatwe do nabycia, ale też szostaki tylko warte. — Takie wianuszki nabywają się obronami autorstwa; zielenieją, pokąd zeszyt Czasopisma nie wyjdzie z druku, i więdną, nim broszurka przeczytaną zostanie. My popiersie Ossolińskiego radzibyśmy widzieli w trwalszym wieńcu, w bibliotece, staraniami jego wzbogaconéj i przez uczucie obywatelskie poświęconéj pożytkowi kraju, któremu tak się dobrze zasłużyć umiał; życzylibyśmy zatém wydawcom Czasopisma, aby między zostałémi rękopismami tego męża staranniéjszy robili wybór i nie ogłaszali notatek, uwłaczających jego pamięci, co większa, dając im poważne nazwiska rozpraw, o których dzisiéjszy czytelnik ma nieco wznioślejsze wyobrażenia. —

Drugi przedmiot, w Czasopismie rozbierany, są uwagi krytyczne nad wyjątkiem z rękopisma: LUTNIA J. P. Andrzeja z Raciborska Morsztyna:

Zaczynają się uwagi od następujących słów: »Nic nie jest bez ale, i słońce ma plamy.« — Otóż piękne są przypisy wydawcy Czasopisma z roku 1830, ale nie trafiają szczęśliwie do każdego przekonania. Przypisom do Lutni Morsztyna trzeba przyznać sprzeczność, którą tém bardziéj usunąć wypada, ażeby pismo wydane przy tak obfitem źródle pismiennictwa polskiego, jakiem jest księgozbiór imienia Ossolinskich, nie nosiło na sobie cechy niedojrzałości.

Sądzilibyśmy, że samo umieszczenie uwag o wiérszach Morsztyna i zajęcie kilkunastu stronic pisma badaniami o tak lichym wierszopisie, jak był nieboszczyk Morsztyn, i o rzeczach tak mało mogących obchodzić nas dzisiaj, jak przedmioty wierszów Morsztyna i sprzeczki o nie, już są w stanie dać pismu cechę niedojrzałości, tém bardziéj, że pismo to wychodzi od tak obfitego źródła pismiennictwa polskiego. Czy też zamiast najmierniejszego wierszopisa nie należałoby raczéj z rękopismów biblioteki Ossolińskich dać nam wiadomości o rękopismach innych autorów, mogących obchodzić historycznego badacza naszéj przeszłości, dalszéj i ważniéjszej i mniej objaśnionej, niż niezbyt odległe czasy Sobieskiego, w których Morsztyn wypisywał swoje wiersze? —

Bez wątpienia za sprostowanie błędnych uwag przeszłego wydawcy, należy wdzięczność teraźniejszemu, i istotnie przypiski pa. K. S. są zajmujące. — Zbijają dostatecznie poprzekręcane daty, wypadki i osoby. Acz same z siebie nie są tak czytającemu świata obce; mile jednak często zajmują myśl, bo poszukiwania w dziejach narodowych, i nie ważne nawet, muszą obchodzić czytelnika polskiego. — Takich nam artykułów potrzeba, za takie wdzięczni będziemy.

Artykuł III.

Czasopisma zamyka niektóre drobne okoliczności życia Maryi Leszczyńskiéj, królowéj francuzkiéj.

Ile nam wiadomo, żaden Leszczyński nie był królem francuzkim, zatém i Maryi Leszczyńskiéj królowéj francuzkiéj nie było. — Maryja z Leszczyńskich była żoną Ludwika XV., króla francuzkiego. — Jest to bez wątpienia omyłka wyrażenia, nie skutek niewiadomości, z tém wszystkiem, aby nie zawikływać dziejów, nie koronować Leszczyńskiego na tron francuzki i nie dawać powodu przyjść po nas mającym antykwaryjuszom do detronizowania go raz jeszcze, należy omyłkę sprostować i dać tytuł artykułowi: »Wiadomość o królowéj francuzkiéj Maryi, córce króla polskiego Stanisława Leszczynskiego i o wyniesieniu jéj na tron francuzki«, chociaż ten ostatni przedmiot należy także do życia, a zatem w tytule nie potrzebny, a przynajmniéj na początku byćby powinien; bo najprzód wyniesiona została na tron, a potém dopiero naturalnie była już królową.

Z téj wiadomości dowiadujemy się, że Ludwikowa XV. Maryja z Leszczyńskich, była osoba grzeczna, łagodnego charakteru i przy wszystkich cnotach, płci swojéj właściwych, umiała się udzielać przyjemnościom życia. — Umarła w 65tym roku wieku swego, nic nie zrobiwszy na świecie złego i nic nadzwyczajnego. — Artykuł

DODATEK